

Ucieczka do Egiptu

Selma Lagerlöf

Daleko, na jednej z pustyń Wschodu, rośla przed wielu, wielu laty palma niesłychanie stara i niesłychanie wysoka. Ktokolwiek przez pustynię wędrował, musiał stanąć i podziwiać ją, gdyż była o wiele wyższa niż inne palmy. Zwykle mawiano, że pewno przerośnie obeliski i piramidy. Kiedy wielka palma stała tak sobie w samotności, patrząc w dal pustyni, ujrzała jednego dnia coś, co sprawiło, że potrząsała ze zdziwienia potężną koroną osadzoną na smukłym pniu liści. Od brzegu pustyni zmierzało bowiem dwoje samotnych wędrowców. Byli jeszcze w oddaleniu takim, w jakim wielbłądy mają pozór mrówek, jednak bez wątpliwości byli to ludzie. Ludzie obcy na pustyni, gdyż palma znała mieszkańców puszczy: mężczyzna i kobieta, bez przewodnika, bez zwierząt jucznych, bez namiotu i bukłaków na wodę.

– Zaiste – rzekła palma do siebie – ci ludzie przyszli tu, aby umrzeć.

Rozglądnęła się wokół.

– Dziwno mi, że lwy się jeszcze nie stawily – mówiła dalej – nie dostrzegam żadnego w ruchu... A i zbójców nie widzę na puszczy. Przyjdą pewnie jeszcze... Siedmioraka śmierć ich czeka – mówiła palma dalej. – Lwy ich pożrą, węże zatrują, pragnienie ich zmoże, piasek zasypie, rozbojnicy ich zabiją, słońce ich spali i strach zniszczy ich do szczętu.

I usiłowała myśleć o czymś innym. Los tych ludzi nappełnił ją żalostí.

Na całym obszarze jednak, który palma mogła obserwować, nie znajdowała niczego, czego by od tysiąca lat nie była znała i oglądała na puszczy. Nic nie mogło przykuć jej uwagi. Musiała więc znowu zwrócić myśl do dwojga podróżnych.

– W taki upał i w taki wiatr! – rzekła, wspominając tych najcięższych wrogów żywota – cóż to niesie ta kobieta na rękę? Zdaje mi się, że ci nierozsądni ludzie mają z sobą małe dziecko!...

Palma, która, jak zwykle starzy, daleko sięgała wzrokiem, nie myliła się. Kobieta niosła dziecko, śpiące z głową opartą na jej ramieniu.

– Dziecko nie odziane nawet dostatecznie – zauważyła palma. – Matka zarzuciła na Nie swoją szatę i tak je osłania. Musiała Je w popłochu porwać z posłania, uciec z Nim. Teraz rozumiem wszystko: ci ludzie to zbiegowie. Ale mimo to ludzie nierozsądni – mówiła dalej. – Jeżeli ich jakiś anioł nie strzeże, to powinni raczej poddać się wrogowi, niż uciekać na pustynię.

Pogrążyła się w myślach, patrząc na podróżnych:

– Wyobrażam sobie, jak się to stało. Mąż stał przy pracy, dziecko spało w kołysce, niewiasta wyszła po wodę. Zaledwie dwa kroki uszła od drzwi, ujrzała nieprzyjaciół pędzących ku nim. Wpadła na powrót do chaty, porwała dziecko na ręce, krzyknęła na męża, aby szedł za nią i umknęła. Potem dniami całymi wędrowali, bez chwili spoczynku. Tak, tak musiało to być, ale pomimo to powtarzam: jeżeli anioł ich nie strzeże... – I nie mogąc przestać trwożyć się o rodzinę, dodała po chwili: – Tak są wylękli, że nie czują znużenia ani innych cierpień, ale ja widzę pragnienie w ich oczach. Znam wyraz twarzy spragnionego człowieka.

I myśląc o pragnieniu, palma poczuła kurczowe drganie, przebiegające jej wyniosły pień, a niezliczone końce jej długich liści zwijały się, jakby trzymane nad ogniem.

– Gdybym była człowiekiem – rzekła – nigdy bym nie odważyła się iść przez pustynię. Bardzo odważny ten, kto tu przybywa, nie mając korzeni sięgających w głąb do źródeł, które nigdy nie wysychają. Tu niebezpiecznie nawet dla palmy. Nawet dla takiej palmy jak ja. Gdybym mogła im radzić, powiedziałabym: „Wracajcie!”. Wrogowie ich nie mogą być tak okrutni jak pustynia. Może im się zdaje, że to łatwo żyć na pustyni. A ja wiem, jak to czasem trudno utrzymać się przy życiu. Pamiętam jeszcze z młodości, jak wichur zwił na mnie całą górę piasku. Bliska byłam uduszenia. Gdybym mogła umierać, byłaby to moja ostatnia godzina.

I dalej głośno myślała palma, jak to bywa zwyczajem pustelników.

– Dziwnie melodyjny szum przebiega mą koronę – rzekła. – Końce mych liści drgają. Sama nie wiem, co mnie na widok tych ubogich wędrowców przenika. Ale ta smutna niewiasta tak jest piękna. Ona mi nasuwa wspomnienie o najszczególniejszym zdarzeniu mego życia.

I podczas gdy liście ciągle grały szemrzącą melodię, rozmyślała palma, jak to niegdyś w dawnych czasach gościły tu na pustyni dwie świetne osobistości. Była to królowa Saby, a z nią mędrzec, król Salomon. Królowa wracała do swojej krainy, król zaś odprowadzał ją, podążając razem z nią przez pewien odcinek drogi. Tu się żegnali.

– Na pamiątkę tej chwili – rzekła królowa – kładę w ziemię pestkę daktylową i chcę, aby z niej palma urosła, która trwać będzie tak długo, póki w judejskiej ziemi nie powstanie Król większy od Salomona. – A mówiąc to, włożyła ziarno w ziemię, którą łyzy jej zrosiły.

– Czemuż dziś właśnie przypominam sobie to wszystko? – pytała palma sama siebie. – Czyżby ta niewiasta tak była piękna, że mi przypomina najwspanialszą z koronowanych kobiet, tę, na której życzenie urosłam i trwałam do dnia dzisiejszego?

Zadumała się znowu i rzekła:

– Coraz silniej szumią moje liście, a granie to smutne, jak żałobny śpiew. Szumią, jakby wróżyły, że wkrótce ktoś umrzeć musi. Dobrze wie-

dzieć, że to nie mnie się tyczy, wszak ja umrzeć nie mogę.

Palma przypuszczała, że żałobny szum jej liści wróży śmierć samotnym wędrowcom. Zapewne i oni sami sądzili, że zbliża się ich ostatnia godzina. Widać to było w wyrazie ich twarzy, gdy mijali jeden ze szkieletów wielbłądzich, które znaczyły drogę. Widać to było w ich wzroku, jakim spoglądali w górę za przelatującymi sępami. Nie mogło inaczej być. Zbliżał się koniec. Ujrawszy palmę i oazę, przyspieszyli kroku, aby poszukać wody. Kiedy jednak doszli, z rozpaczą padli na ziemię, gdyż źródło było wyschnięte. Znużona Niewiasta położyła Dziecko i usiadła, płacząc, nad brzegiem źródła. Mężczyzna rzucił się obok Niej i bił gwałtownie pięścią w suchą ziemię. Palma słyszała, jak oboje mówili o tym, że muszą umierać. Dowiedziała się także z ich rozmowy, że król Herod wszystkie dzieci od dwu do trzech lat kazał wymordować z obawy, iż oczekiwany wielki Król żydowski może się pośród nich znajdować.

– Coraz potężniej szumią moje liście – myślała palma. – Biednym tym wędrowcom ostatnia bije godzina.

Słyszała jeszcze, że oboje obawiali się wilków. Mąż mówił, iż lepiej było zostać i walczyć z zółdactwem, niżeli uciekać. Lżejszą śmierć by mieli.

– Bóg nas wspomůže – rzekła Niewiasta.

– Jesteśmy opuszczeni między dzikimi zwierzętami i węzami – rzekł człowiek – nie mamy jadła ni napoju. Jakże nas Bóg wspomůže?

Rozdarł w rozpacz swe szaty i twarz przycisnął do ziemi. Stracił wszelką nadzieję, jak człowiek z raną śmiertelną w sercu. Niewiasta siedziała, obejmując kolana rękoma. Wzrok Jej wyrażał bezgraniczny smutek. Palma czuła, że szum żaloszny jej liści się wzmacnia. Kobieta musiała dosłyszeć go także, gdyż skierowała spojrzenie ku koronie drzewa, a zarazem mimowolnie podniosła w górę ramiona.

– O, daktylo, daktylo! – zawołała.

W głosie tak wielkie wyrażało się pragnienie, że stara palma rada była zmaleć do miary jałowca, żeby daktylo można było zrywać tak łatwo jak głóg dzikiej róży.

Wiedziała, że z korony jej zwisają pęki owoców, ale jakżeżby ludzie mogli się dostać na tak zawrotną wysokość! Mężczyzna spostrzegł już, jak wysoko wisały daktylo i że niemożliwym było ich dosięgnięcie. Nie podniósł nawet głowy. Prosił tylko kobietę, aby nie domagała się rzeczy niemożliwej. Dziecko jednak, zabawiając się żdźbłem trawy i drepcząc wokoło, usłyszało, co mówiła Niewiasta. Mały nie mógł sobie wyobrazić, że Jego Matka mogłaby nie dostać czegoś, czego sobie życzyła. Skoro tylko wspomniano o daktylach, zaczął pilnie oglądać drzewo. Dumał i rozmyślał, jakby tych daktyli sięgnąć. Jego czołko zmarszczyło się prawie pod jasnymi kędziorami. Wreszcie uśmiech przemknął Mu przez twarzyczkę. Znalazł sposób. Podszedł do palmy, zaczął ją głąskać malutką rączką i rzekł słodkim dziecięcym głosem:

– Palmo, pochyl się! Palmo, pochyl się!

Ale cóż to się działo? Co to takiego? Liście zaszumiały, jak gdyby wicher je przeszył, a ogromny pień drzewa dreszcz po dreszczu przebiegał. Palma uczuła, że Dziecko ma nad nią władzę. Nie mogła Mu się oprzeć.

I pochyliła się wyniosła kolumna przed Dzieckiem, jak schylają się ludzie przed księżętami. Ogromnym łukiem ugięła się ku ziemi, tak nisko, że olbrzymia korona drżących liści zamiotła piasek pustyni. Dziecko nie było ani tym zdziwione, ani zalęknione. Z krzykiem radości zbliżyło się i sięgało po grono za gronem z korony palmowej.

Gdy już sporo narwało, a drzewo ciągle jeszcze kornie leżało na ziemi, zbliżyło się znowu, głaszcząc je i rzekło przemiłym głosem:

– Podnieś się, palmo, podnieś się, palmo!

I drzewo podniosło się ciche i posłuszne na swoim giętkim pniu, podczas gdy jego liście grały niby harfy.

– Teraz rozumiem, komu grają śmiertelną melodię – rzekła stara palma do siebie, gdy już znowu stała wyprostowana. – Nie tym ludziom one grają.

Mężczyzna zaś i kobieta klęczeli, wielbiąc Pana.

– Ujrzałeś trwogę naszą i odjąłeś ją od nas. Ty Mocarzu, który pień palmy gniesz jak trzcinę chwiejącą. Jeśli moc Twoja z nami, przed jakimże wrogiem drzeć możemy?

UCIECZKA DO EGIPTU

Kiedy następna karawana ciągnęła przez pustynię, ujrzeli podróżni, że korona dużej palmy uschła.

– Jakże to być może – rzekł jeden z wędrowców – wszakże ta palma miała trwać tak długo, póki się nie doczeka króla większego od Salomona.

– Może już się Go doczekała – odparł drugi z podróżników.

Ubogi pielgrzym

Renzo Pezzani

Matka Boska, która miała właśnie wyprać w rzece koszulinę Jezusa, zobaczyła na łące dziewczeczkę, która pasła krowę. Zawołała ją i rzecze:

– Czy mogłabyś potrzymać przez chwilę Dzieciątko? Chciałabym uprać tę bieliznę.

– Chętnie – odparła dziewczynka, która miała na imię Katarzyna.

A wziąwszy Jezusa na ręce, spostrzegła, że żadne dziecko na świecie nie mogło być tak piękne jak to, więc ucięła nożyczkami pukiel Jego włosów i ukryła na piersi.

Kiedy Matka Boska przyszła po Dzieciątko, spostrzegła, że brak Mu jednego pukla, i zapytała Katarzynę:

– Czy to ty zabrałaś Mu kosmyk włosów?

Dziewczynka zaczerwieniła się ze wstydu i mówi:

– Miał takie piękne loki, że chciałam jeden sobie wziąć. Ale jeśli chcesz, zwrócę.

– Zatrzymaj sobie.

I poszła z uśpionym umiłowanym Dzieciątkiem.

Następnego dnia Katarzyna wróciła na łąkę z krową i przez cały czas oczekiwała, że znowu ukaże się jej piękna Pani z Dzieciątkiem na ręku. Ale zamiast Niej przybył anioł i rzekł:

– Widziałas gdzieś w pobliżu Pana i Matkę Boską?

– Widziałam wczoraj jedną Panią z Dzieckiem. Pani robiła pranie, a Dziecko spało. Spójrz, nawet zostawiło mi swój pukiel.

Anioł wziął pukiel włosów i mówi:

– To Jego włosy! – powiedział i odszedł. Katarzynie zaparło dech w piersi.

– Miałam w ramionach samego Pana – mówiła sobie – a nie poznałam Go!

Innego dnia Katarzyna była przy studni i nabierała wodę, gdy zobaczyła, że zbliża się do niej pielgrzym, któremu chciało się pić. Ubrany był w czerwony płaszcz i podpierał się ukwieconym kijem.

– Dasz mi się napić, Katarzyno?

– Napij się – i podała mu wiadro. – Skąd znasz moje imię, jakbyśmy się już kiedyś spotkali?

Cudzoziemiec przytknął wargi do brzegu wiadra i pił długimi łykami, ale na pytanie nie odpowiedział, a ugasiwszy pragnienie, rzekł:

– Do widzenia.

I już miał odejść, ale Katarzyna spytała jeszcze:

– Czy dasz mi jeden kwiat z tej pięknej gałęzi?

– Z radością.

Dał jej kwiat i szybkim krokiem ruszył dalej. Chwilę później zjawił się anioł i widząc Katarzynę, zapytał:

– Czy widziałś przechodzącego tędy Pana?
– Widziałam cudzoziemca, który miał pragnienie, i dałam Mu pić. Spójrz, zostawił mi nawet kwiat ze swojego kija.

Anioł spojrział na kwiat i mówi:

– Tak, to był właśnie On!

Katarzyna skamieniała.

– Dałam pić Panu – rzekła sobie – i nie poznałam Go!

Pewnego razu Katarzyna, wypiekając chleb, usłyszała, że za jej plecami przechodzi jakiś nieznamy. Obejrzała się i ujrzała biedaka, tak obzarpanego, że wyglądał, jakby okrywały Go wszystkie nędzy świata. Oczywiście był głodny, więc Katarzyna obiecała mu:

– Skończę piec te chleby, to dam Ci jeden. Na razie usiądź sobie.

Kiedy wyjęła chleby z pieca, jeden z nich wtknęła w ręce biedaka, który zaczął jeść, okazując ogromną radość.

– Dziękuję! – rzekł z pełnymi ustami.

A zanim sobie poszedł, zebrał okruszki i włożył je Katarzynie do dłoni, powiadając:

– Mogę dać ci jedynie okruchy twojego miłosierdzia. Wystarczy ich dla ptaków.

Odszedł, a po chwili pojawił się anioł, który widząc Katarzynę, zapytał:

– Czy widziałś przechodzącego tędy Pana?

– Widziałam nędzarza żałośniejszego od całej nędzy świata, który był głodny. Dałam mu chleba, a on w zamian zostawił mi te okruszki.

Anioł spojrział na okruszki i musiał ujrzeć wielki blask, gdyż podniósł dłonie do oczu i rzekł:

– Był to właśnie Pan!

Katarzyna przepelniona wzruszeniem wybuchnęła wtedy płaczem, a wszyscy domownicy poczęli pytać, skąd te łzy.

Oto czemu, jeśli jakieś dziecko, cudzoziemiec czy ubogi proszą o coś, nigdy nie są odsyłani z pustymi rękami: w każdym z nich wszyscy ludzie widzą Pana.